

Choinka w Zimowym Ogrodzie



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów. Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. (...) Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak

więc te zwykle w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki licznym wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połagi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria” dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słoty, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki.



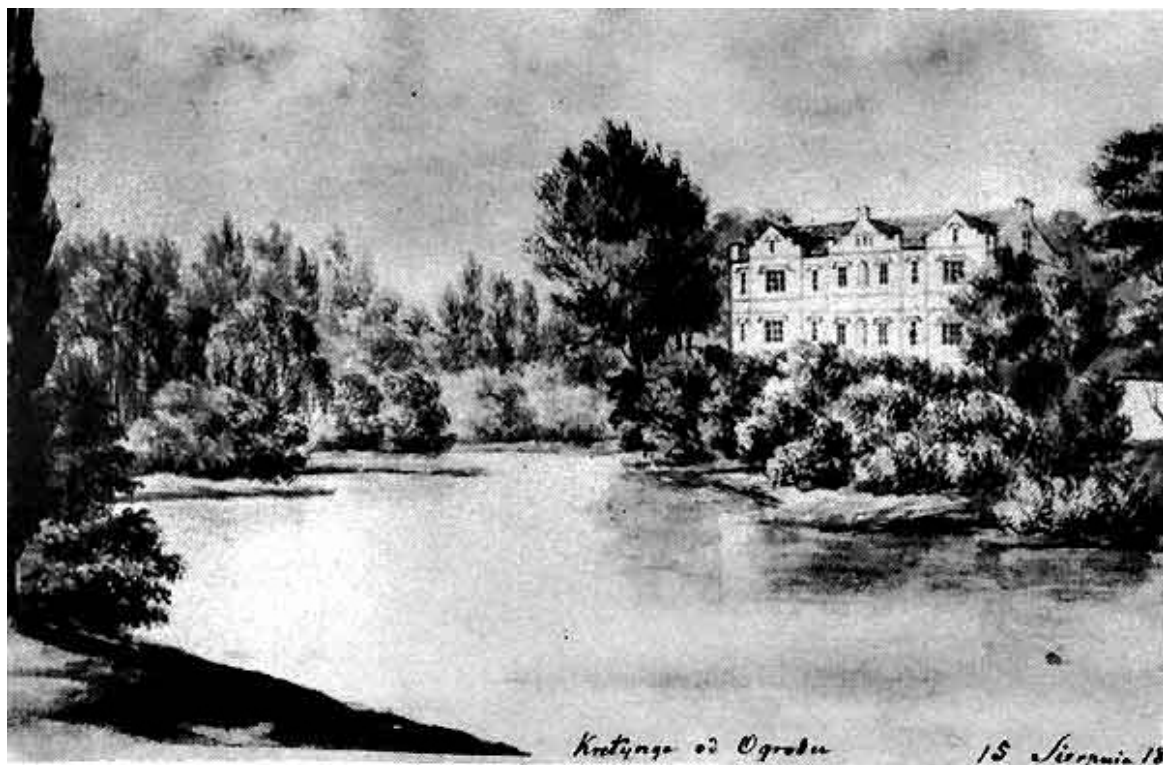
Kretynka, po lewej stronie pałacu Ogród Zimowy, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretynką a Połagą, między zimą a sezonem letnim, połągowym. Wszystko szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich

domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła. Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndze kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka inwalidzkiego, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomyślnie zdał egzamin, bo ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął stworzyć orkiestrę z domownikami, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty. Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-letnia Fraulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko”. Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Beethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprowadzając słuchaczy w niemały zachwyt. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem, a panna Retty z braku głosu „*ślicznie gwizdała*”. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii Zimowego Ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych

palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu. Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwactwa. (...)



Kretynga według Napoleona Ordy.

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz był wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi ” i „trzeci stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam

schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczka. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spiżarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa. Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludna, zawsze starannie ubrana z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem, włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty” na pantofle, „kolonki”, na spinki do mankietów, wasistas na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek „*niech cię kaczkę podepczą*” czy „*na pochyłe drzewo kozy skaczą*”. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, „*a po co to wszystko*”, „*nic z tego dobrego nie wyniknie*”, „*a po co pani hrabina tego tyle kupuje*”, „*po co tyle pieniędzy wydawać*” itd. W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku. (...)



Kretynga według Napoleona Ordy.

W Kretyndze pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołądziami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon Połagowski.

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzali ogromny ruch i ożywienie, opowiadali o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji

odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne „*l'argent de garde*”. Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nie umiał sobie z tym poradzić. (...) Najstarszy Oleś wykazywał okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci, przewidzieć co im najbardziej potrzeba i z czego się ucieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cieniotkami, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.



Tyszkiewiczowie, portret rodzinny wiszący w pałacu w Kretyndzie, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję” zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom

wykształcenia i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję” od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynkami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców. Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdążyć na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyslenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zasnął, musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania. Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretyngę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli ks. Ogińscy z Płungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo kareta zaprzęzona w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że księżę pan jedzie. Po czym wysiadał księżę Michał, mały, czarny, z długim, podkreconym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny ekwipaż, którym w odwiedziny przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Płungianach, sama, bez dzieci, odwiedziny w

sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem. Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Pługianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności nocował w jej apartamencie, tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora. W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy, gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek.. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą. (...)

Na Żmudzi życie toczyło się więc ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów i dziećmi przenieśli się z Landwarowa do Kretyngi po Powstaniu Styczniowym.

Betlejem: Grota i Bazylika Narodzenia



Betlejem dziś

Władysław Pomarański

Polityczna i społeczna sytuacja w historycznej Palestynie w czasach Chrystusa

Jezus urodził się w Betlejem, w pasterskiej grocie w małym miasteczku oddalonym o jakieś dziesięć kilometrów na południe od stolicy Palestyny, Jerozolimy. To było przypadkowe i nieplanowane miejsce narodzin Chrystusa, bo Józef i Maryja musieli zjawić się, by uczestniczyć w spisie ludności zadekretowanym przez cesarza Rzymu. Trzeba się było zapisać w miejscu pochodzenia głowy rodziny: Józef pochodził z plemienia Judy, które mieszkało na terenach dzisiejszej Judei, a jego miejscem rodowym było Betlejem.

Mieszkali na stałe w Nazarecie, w owych czasach nawet nie miasteczku czy wiosce, ale w małej osadzie. Dzisiaj tereny historycznej Palestyny to żydowskie państwo Izrael i arabska Palestyna. W czasach narodzin Chrystusa był to kraj zniewolony pod rządami Rzymu, choć sprawami mniej istotnymi zarządzał z nominacji cesarza rzymskiego król żydowski Herod zwany Wielkim. Różne grupy społeczne różnie reagowały na to zniewolenie. Klasa bogatych i „wysoko urodzonych” – saduceusze – raczej dobrze czuła się w tej nowej rzeczywistości, zaadaptowała zachowania i styl życia Rzymian, nawet urządzała wystawne uczyty w czasie których biesiadnicy spoczywali na łożach, jak to robili Rzymianie, a przed nimi Grecy, jak na to wskazują choćby odkrycia archeologiczne w miejscowości Qumran położonej na wschód od stolicy, znanej światu przede wszystkim z rękopisów odkrytych w pobliskich jaskiniach. Faryzeusze, kasta kapłańska, dbała o wolność praktyk religijnych, funkcjonowanie Świątyni, synagog, i choć z uporem, uznali *status quo*. Trzecia warstwa, eseneńczycy, uznali jakikolwiek opór za bezsensowny, umartwiali się, pościli, wyrzekali małżeństw, przenosili się do jaskiń na pustyni, by tam jak najlepiej przygotować się na koniec świata, który miał lada chwila nastąpić. To między innymi mieszkańcy wspomnianego Qumran. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Chrystus zatrzymywał się u nich po drodze od rzeki Jordanu do Jerozolimy. Czwarta warstwa, zeloci, to zaprzysięgli bojownicy o wolność.



Betlejem ok. 1880 r.

Wojny żydowsko - rzymskie

Zeloci wywołali wojny machabejskie, na długo przed Chrystusem, krwawo stłumione przez Rzymian, później co chwila wybuchały jakieś bunty; ich wodzowie podawali się za zapowiadanych przez Biblię mesjaszów, bo to mobilizowało tłumy. Gdy Chrystus wystąpił w tej roli, nie zrobił tym wyznaniem większego wrażenia (aha, mamy nowego mesjasza, co znowu ten wymyśli!). Dopiero jego genialna doktryna więcej niż cuda i jego wyjątkowa osobowość zaczęły kierować wzrok wszystkich, późniejszych przyjaciół i wrogów, w jego kierunku. W latach 66-73 n.e. wybuchła wielka rewolta, która objęła cały kraj. Dwóch pierwszych wodzów rzymskich poniosło klęskę, dopiero generał Wespazjan, który w czasie trwania tej wojny w roku 69 n.e. został cesarzem, odwrócił szalę tej wojny. Krok po kroku, zaczynając od północy, legion Wespazjana zdobywał miasteczka i inne punkty oporu. Do Jerozolimy wojska Wespazjana doszły w roku 70-tym, miasto wzięły głodem i odcięciem wody, zrównały je z ziemią, zostawiły tylko mur zachodni podtrzymujący stoki wzgórza, na którym stała Świątynia, znany dzisiaj jako Mur Płaczu – najświętsze miejsce narodu

żydowskiego. Jeszcze trzy lata trwały walki. Zeloci nie poddawali się, ginęli do ostatniego. Najbardziej dramatyczne sceny rozegrały się w Masadzie, górzystej warowni na pustyni Judzkiej nad Morzem Martwym, gdzie wszyscy obrońcy, prawie tysiąc bojowników, straciwszy nadzieję na zwycięstwo, wymordowali się nawzajem. Część ludności ukrzyżowano, a gdy już krzyży zabrakło, dużą ich liczbę wysiedlono poza granice państwa. Dość dużo Żydów pozostała w kraju. Dali się jeszcze raz porwać do walki w roku 130 n.e. przez Bar Kochbę. Teraz potęga rzymska natychmiast zapanowała nad sytuacją, przeszła przez Palestynę, nastąpiło kompletne zniszczenie kraju, mordy, lub wywiezienie resztek ludności daleko od Palestyny.



Grota Narodzenia obecnie.

Zbeczesczenie miejsce narodzenia Chrystusa i pierwsze pielgrzymki

Cesarz Hadrian po zapanowaniu nad sytuacją i oczyszczeniu kraju z jego mieszkańców nakazał zbzczyć i okryć hańbą wszystkie Judeo-chrześcijańskie miejsca święte. I tak się stało. Z przekazu św. Hieronima z roku 396 dowiadujemy się, że na miejscu zmartwychwstania Chrystusa umieszczono wizerunek Jupitera, na

miejscu krzyża postać Wenery, a wokół Groty Narodzenia zasadzono gaj i uprawiano rozpustny kult Wenery w odmianie wschodniej, czyli Astarte, opłakującej śmierć Tamuza, czyli Adonisa. Grota Narodzenia jeszcze przed tymi wydarzeniami ściągала pielgrzymów. Był to rodzaj małej mekki dla pierwszych chrześcijan. Wiemy, że ludzie z okolic Betlejem uchodzili za szczęśliwców, byli otoczeni wielkim szacunkiem, bo to przecież u nich objawił się światu Zbawiciel. Syn Żyda, Judy z Betlejem, Ewarystus, został jednym z pierwszych papieży; rządził Kościołem w latach od 100 do 109 n.e., zmarł śmiercią męczeńską. Jeden z patrycjuszy rzymskich św. Justyn zaraz po nawróceniu na chrześcijaństwo udał się w długą i niebezpieczną podróż do Betlejem. Tylko drobne fragmenty jego wspomnień zachowały się jako cytaty u późniejszych historyków Kościoła. Dowiadujemy się z nich, że kult Chrystusa w grocie Narodzenia był powszechny. W pierwotnym Kościele czczono w grocie nie tylko fakt narodzin Chrystusa, ale przede wszystkim epifanię, czyli jego objawienia się światu. Zanim przyjęto datę 25 grudnia jako umowny dzień narodzin, jego przyjście na świat i epifanię obchodzono 6 stycznia. Święty Justyn zginął śmiercią męczeńską w roku 150-tym. W kilkadziesiąt lat później jeden z największych geniuszy wczesnego chrześcijaństwa Orygenes pisał:

Nawet dla tych co są obcy wierze było wiadomym, że ten, który jest czczony i gloryfikowany przez chrześcijan, w tejże grocie się narodził.

Nakaz Hadriana by zbrukać miejsce narodzin Chrystusa miał odwrotne do zamierzonego skutki, faktycznie była to niejako pieczęć potwierdzająca fakt narodzin Chrystusa w tym miejscu. Grota była mała, trzymano w niej zwierzęta. Maryja musiała rodzić w jedynym dostępnym miejscu, w środku groty. I choć Rzymianie grotę otoczyli gajem, nad nią stworzyli centrum religijnej pogańskiej rozpusty, to ci co koniecznie chcieli znaleźć się w niej, znajdowali sposoby by dostać się do jej wnętrza. Mania zabierania z sobą relikwii z miejsc świętych była ciągłym potwierdzeniem autentyczności miejsca narodzenia, bo gromadziła wielu, którzy celowo wybierali się do tego miejsca by zabrać ze sobą jakąś fizyczną pamiątkę związaną z Chrystusem. Owszem, żłóbek przepadł i to już chyba w pierwszego wieku naszej ery; najprawdopodobniej był z gliny: tak twierdzi eremita betlejemski wspomniany św. Hieronim, jeden z najbardziej znanych świętych z owego czasu; będąc glinianym łatwo go było rozgrażyć na relikwie. Gdy już zabrakło pamiątek po

Chrystusie, pobożni pielgrzymi zaczęli odłupywać po kawałku ściany groty, ale najważniejsze miejsce w grocie, miejsce narodzin Chrystusa, zostało nienaruszone, od początku zaznaczane na różne sposoby. Ostatni taki znak, to wielka czternastoramienna srebrna gwiazda z napisem po łacinie, w tłumaczeniu na język polski brzmiącym: „Tu z Maryi Dziewicy Jezus Chrystus się narodził 1717.” Grabienie relikwii skończyło się kiedy powiększona przez łowców relikwii grotą została obmurowana, a sufit otrzymał sklepienie. Dziś to małe sanktuarium o rozmiarach: dwanaście metrów długie, trzy metry szerokie i wysokie, z ołtarzem i kapliczką żłóbka, położone pod wielkim ołtarzem bazyliki.



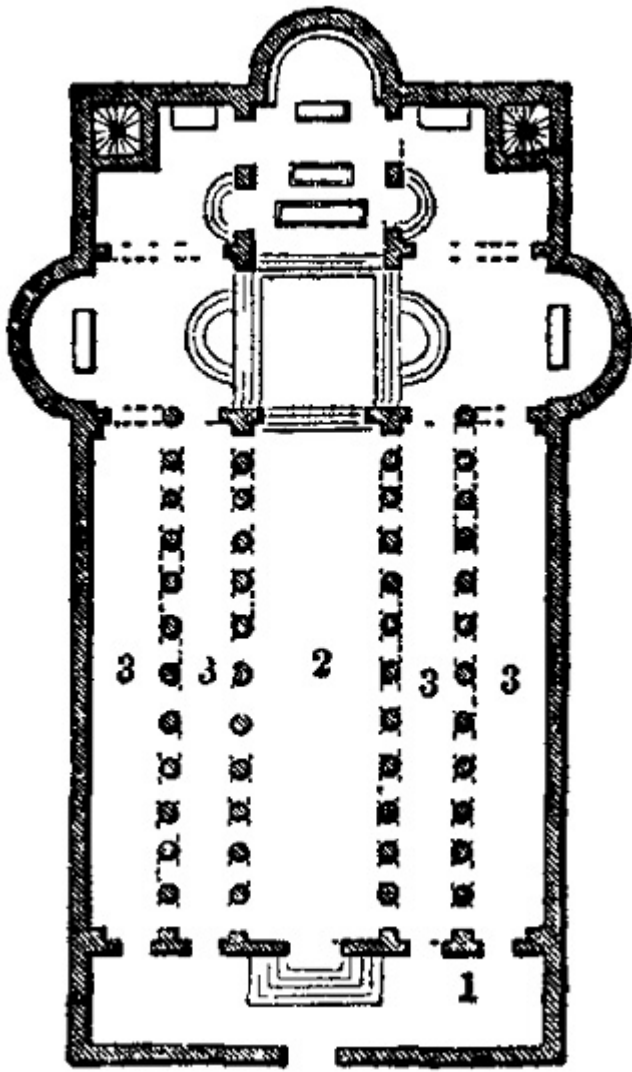
Bazylika Narodzenia Pańskiego.

Bazylika Narodzenia

W obecnej bazylice po obu stronach głównego ołtarza jest zejście do groty. Jest do niej także dojście od kościoła św. Katarzyny – kościoła franciszkanów wybudowanego w XIX wieku, który razem z klasztorem jest niejako „doklejony” do północnej ściany bazyliki; ściana południowa jest obudowana przez klasztory prawosławnych Greków i przez Ormian. Całość to przypadkowy nieciekawy estetycznie konglomerat powstały przez doczepienie nowych budowli do oryginalnego, najstarszego kościoła

chrześcijaństwa. Bazylika odsłonięta jest z zachodu, gdzie znajduje się narteks, czyli przedsionek właściwego kościoła, a od wschodu widzimy półokrągłą absydę pod którą znajduje się Grota Narodzenia.

Jak doszło do budowy bazyliki? Od pierwszych lat, kiedy religia chrześcijańska stała się oficjalną religią Cesarstwa Rzymskiego myślano o „odpoganieniu” miejsc świętych, szczególnie w Palestynie. Do budowy kościołów parła matka pierwszego chrześcijańskiego cesarza Konstantyna, św. Helena. Gdy papieństwo uporało się z pierwszą wielką herezją w Kościele – arianizmem, który został potępiony na pierwszym soborze powszechnym w Nicei w 325 roku, na którym także ustalono, które pisma są autentycznymi dokumentami Nowego Testamentu, hierarchia ustami biskupa Jerozolimy zażądała od cesarza wzniesienia budowli sakralnych w Ziemi Świętej. Święta Helena zgłosiła się jako ochotniczka do nadzorowania prac budowlanych. Budowa ruszyła już w roku następnym. Wiemy o trzech wyniesionych wtedy świątyniach: na miejscu śmierci i pochówku Chrystusa, na górze Tabor pod Nazaretem i nad miejscem Groty Narodzenia. Kościoły na Golgocie w Jerozolimie i na Górze Tabor zostały doszczętnie niszczone, te które znajdują się tam obecnie są nowymi budowlami, jedynie bazylika w Betlejem jest oryginalną, tylko nieco przebudowaną świątynią. To najstarszy i jedyny z owych czasów kościół chrześcijański.



Plan obecnie Bazyliki Narodzenia

Potrzeba pośpiechu nie pozwoliła na stworzenie jakiegoś oryginalnego modelu czy planu: zaadaptowano rzymską halę targowo-sądową jako wzór pierwszych budynków sakralnych. Hale te były dużymi wnętrzami podzielonymi kolumnami na trzy lub pięć naw. Taki wygląd miały te pierwsze bazyliki. W Betlejem wejście z zachodniej strony poprzedzał przedsionek zewnętrzny czyli atrium, gdzie gromadzono wodę deszczową potrzebną do rytualnych ablucji - pierwsi chrześcijanie przejęli niektóre tradycje żydowskiej świątyni jerozolimskiej, między innymi potrzebę oczyszczenia się wodą przed wejściem do wnętrza. W ramach murów znajdował się wewnętrzny przedsionek - narteks. Do świątyni wchodziło się przez trzy ozdobne portale. Ołtarz główny był od strony wschodzącego słońca. Od tejże strony dobudowano do bazyliki ośmiokątny budynek dokładnie nad grołą Narodzenia. Ten pierwotny

kościół to wielka hala z czterema rzędami monolitycznych solidnych kolumn korynckich dzielących przestrzeń na pięć naw; środkowa szersza i wyższa od innych. Sklepienie było najprawdopodobniej drewniane, nie wiemy czym był pokryty dach pierwotnej bazyliki.

Wiemy, że Palestyna, to korytarz między Azją Mniejszą, Europą i Afryką. Co kilkadziesiąt lat przelewały się tędy hordy najeźdźców, a także karawany kupieckie. Najeźdźcy, wprowadzając własne porządki, burzyli wszystko, co spotkali po drodze po drodze. W czasie mego pobytu w Palestynie pół wieku temu, widziałem wykopaliska opodal dawnego pretorium Piłata. Budowle tego miejsca burzone były dwadzieścia razy. Bazylika Narodzenia też płonęła, nie wiemy ile razy, ale mury i

kolumny zostawały. Sanktuarium stajenki nie ulegało większym zniszczeniom, bo mieściło się pod posadzką bazyliki.

Począwszy od piątego wieku w całym Kościele, szczególnie w Palestynie, a przede wszystkim w Jerozolimie i Betlejem, kwitło życie monastyczne i eremickie. Bogate damy rzymskie wyrzekając się życia „ziemskiego”, z mężami po ślubie czystości, spowiednikami, opiekunami duchowymi, ściągaly w te tereny, zakładały klasztory i pustelnie, męskie i żeńskie, jedno w pobliżu drugich, dla bezpieczeństwa. Czasy były niebezpieczne, wielu żyło z rozbojów. Jaskinie w Pustyni Judejskiej były doskonałymi „dziuplami” tych awanturników. Święte dziewice, jak wtedy najczęściej zwano zakonnice, były częstszym obiektem ataków, bo łupy te same co z klasztorów męskich, ale mniejszy opór, no i dodatkowym motywem ataku była możliwość zabawy, czyli gwałtów. Na dany znak protektorzy zaatakowanych kobiet, mnisi, chwyтали w ręce co się dało i najczęściej przepędzali rabusiów, bo przewaga liczebna była po stronie obrońców. W tym czasie drażono wokół groty Narodzenia korytarze, inne groty, zakamarki, miejsca rozmyślań enemitów, przemienione później w groby co ważniejszych matron i zakonników. Oni to najczęściej reperowali szkody materialne w bazylice. Do dziś są tam pochowani, wśród nich św. Hieronim. Większego zniszczenia bazyliki dokonali Samarytanie w roku 529. Jak wcześniej przez Żydów, tak i później przez imperatorów chrześcijańskich, ludzie ci byli uważani za margines społeczny, byli powszechnie pogardzani, wykorzystywani, lekceważeni, to stało się powodem wybuchu reakcji odwetowej. Powstanie Samarytan wybuchło w drugim roku panowania najpotężniejszego cesarza Wschodniego Imperium Rzymskiego Justyniana (zachodnia jego część już od dość dawna była zniewolona przez plemiona germańskie). Bunt uśmierzono szybko i Justynian zabrał się za odbudowę bazyliki. Choć upodobania architektoniczne od czasów Konstantyna zmieniły się, architekt Justyniana zostawił nawy w bazylice z oryginalną kolumnadą – ten trzon kościoła pamiętający świętą Helenę dotrwał do naszych czasów. Dokonano jednak pewnych zmian w architekturze budynku. Ponieważ praktyki religijne chrześcijan odeszły od modelu żydowskiego, nie było potrzeby utrzymania zewnętrznego przedsionka świątyni, rozebrano go, dziś to część placu przed bazyliką. Przemodelowano nieco przedsionek wewnętrzny, narteks. Wschodnia część świątyni uległa kompletnemu przeobrażeniu. Usunięto budynek oktagonalny i w tym kierunku powiększono nieco bazylikę. Przy

konstantynowskich nawach zewnętrznych dobudowano dwie półokrągłe absydy, w ten sposób powstała nawa poprzeczna i kościół przybrał kształt krzyża rzymskiego, upodabniając się tym do kościołów budowanych w tym czasie. Wykończeniem od wschodu była jeszcze jedna absyda, dokładnie nad grota, w niej zbudowano ołtarz i dwa dojścia po obu jego stronach w dół. Była to dość ponura budowla – okien było niewiele przeważnie znajdowały się przy zewnętrznych nawach. Usłużna legenda donosi, że gdy cesarz Justynian przyjechał do Betlejem, by przyjąć pracę, ponurość świątyni tak go zdenerwowała, kazał architekta uśmiercić rozwiązując w ten sposób problem. Powtarzam: to legenda, a nie prawdziwe wydarzenie. Dzisiejsza bazylika to ta właśnie justyniańska z nawami Konstantyna. Ma długość 54 metry, szeroka 26 metrów w części naw, a 36 metrów w transepcie, czyli nawie poprzecznej. Świątynia ta nie zmieniła się do naszych czasów. Ponieważ najeźdźcy różnych maści wjeżdżali do niej na koniach, by chronić świątynię przed beczeszczaniem zamurowano portale – w jednym z nich zostawiono niskie wejście około metra szerokości. W czasach wypraw krzyżowych i później zmieniano posadzki, jeden z królów angielskich posłał drewno na nowy sufit, książę Burgundii ołów na dach, który później przez “niewiernych” przetopiono na kule, tak że chrześcijańscy bojownicy umierali pięknie, honorowo, zabijani kulami ze świętego miejsca.

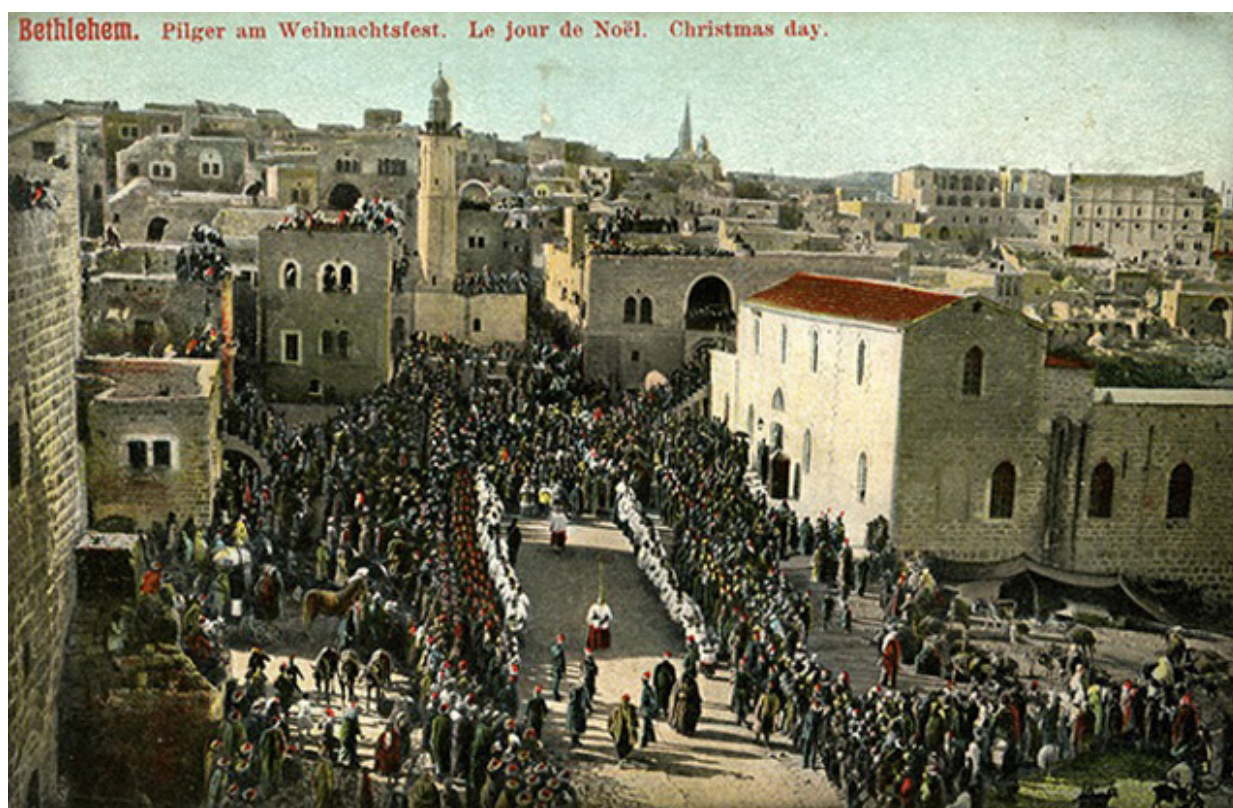


Wnętrze Bazyliki Narodzenia Pańskiego.

Tragiczne dzieje historycznej Palestyny

Przez "korytarz" palestyński, przechodziły armie wiele razy, najczęściej bojowników muzułmańskich. Ci przeważnie nie niszczyli kościołów, bo w mahometanizmie wiele wierzeń i praktyk jest pochodzenia chrześcijańskiego. W Bazylice Narodzenia modlili się ich wielcy wodzowie, nawet słynny kalif Omar w r. 638 n.e., bo przecież Chrystus dla nich jest jednym z proroków. Inaczej zachowywali się Persowie, jeszcze w tym czasie nie mahometanie. Mieli swoją religię, zoroastrianizm, który dla religii chrześcijańskiej bywał kilka razy zagrożeniem, szczególnie w czasie wielkiej schizmy pelagianizmu. Najeźdźcy perscy burzyli wszystko, co wcześniej nie było powalone. Gdy doszli do Bazyliki Narodzenia dostrzegli przy wejściu mozaikę pokłonu trzech mędrców. Byli w szatach perskich - ten fakt ocalił kościół przed zrównaniem go z ziemią. To było w roku 614. Wszelkie reperacje i modernizacje na przestrzeni

wieków dokonywali najczęściej, jak wspomniałem, rezydenci różnych zgromadzeń w Betlejem i okolicy. Nawet obecnie w tym tak niestabilnym i niebezpiecznym kraju, podczas mego pobytu w Ziemi Świętej w samym Betlejem były cztery zakony męskie, jedenaście żeńskich, nie licząc zakonów niekatolickich wyznań chrześcijańskich. Od grudnia przez styczeń, w czasach pokoju setki tysięcy, w okresach wojen i ataków terrorystycznych tysiące chrześcijan gromadzi się tu, by oddać hołd, właśnie tu “w Betlejem, nie bardzo podłym mieście” temu co “narodził się w ubóstwie, Pan wszego stworzenia”, twórcy największej religii świata i, pośrednio, naszej zachodniej cywilizacji.



Uroczystość religijna na głównym placu Betlejem.

Grotę i Bazylikę Narodzenie obejrzałem w dniu Wielkiejnocy w 1966 roku. Byłem uczestnikiem pielgrzymki do Ziemi Świętej. Najtańsze i chyba najbardziej fachowe pielgrzymki organizowali franciszkanie, kustosze tych terenów od wielu wieków. Duża grupa pielgrzymów podzielona była na podgrupy językowe. W tym czasie z języków zachodnich najlepiej znałem język francuski więc mieliśmy przewodnika mówiącego po francusku, był nim 60-cio letni franciszkanin, sympatyczny i mądry człowiek – zapamiętałem jego piękną białą brodę sięgającą do pasa. Zaproponował,

że jeśli chcemy możemy razem z nim tego dnia odwiedzić Betlejem (nie było tego miejsca na trasie pielgrzymki, chyba ze względów bezpieczeństwa). Kilkoro nas pojechało tam z nim z Jerozolimy wynajętą taksówką. Po dokładnym zwiedzeniu Bazyliki i Groty Narodzenia, zakonnik zaprowadził nas do zaprzyjaźnionej arabskiej rodziny mieszkającej w dwóch połączonych ze sobą grotach, oddalonych od bazyliki o kilkaset metrów. W domu była pani domu, jej siostra i czternastoletnia córka. Pan domu pasł owce, tak jak ponad 2000 lat wcześniej biblijni pasterze, na pastwisku miejskim w pobliżu miasta. To była niezapomniana wizyta. Poczęstowano nas kawą, wypytano nas o ten nasz „raj na ziemi”, z którego przyjechaliśmy, same opowiadały o swoim skromnym życiu i zagrożeniu ze strony Izraelitów. Nie było problemu z porozumiewaniem się, bo córka chodziła do szkoły francuskiej, była świetnym tłumaczem. Spotkanie to mocno wryło się w moją pamięć. Przypomniały mi się wtedy słowa dziewiętnastowiecznego pisarza francuskiego Ernesta Renana, ateisty oczarowanego osobą i dziełem Chrystusa. Odwiedził Palestynę i w swej *Vie de Jésus* – jednej z najpiękniejszych książek jakie czytałem o Chrystusie – wyznał, że ta podróż była jego „piątą ewangelią”. I dla mnie ta moja podróż była piątą ewangelią, bo dreptałem śladami tego, który zmienił świat, byłem o kilka kroków od miejsca jego narodzin.



Pastwisko oddalone o ok. 1 km od Betlejem.

Teatr w służbie narodu. Jadwiga Domańska (1907-1996).

Kazimierz Braun wspomina siostrę swojego ojca, aktorkę Jadwigę Domańską, w dwudziestą rocznicę jej śmierci.

Kazimierz Braun



Jadwiga Domańska po ukończeniu warszawskiej Szkoły Dramatycznej (była uczennicą Akeksandra Zelwerowicza) – 1932 r., fot. arch. K. Brauna.

Kiedy Jadwiga Braunówna postanowiła zostać aktorką – a jej postanowienia i wybory życiowe cechowała zawsze gwałtowna stanowczość i bezwzględna konsekwencja – nie przypuszczała na pewno, że właśnie ten zawód zaprowadzi ją do wojska. Kiedy zaś, już wtedy zamężna, Jadwiga Domańska składała konspiracyjną przysięgę wojskową, nie mogła się spodziewać, że w wojsku będzie prowadziła teatr. Gdy zaś była już porucznikiem i kierownikiem teatru w Drugim Korpusie, nie wiedziała, że szlak bojowy zamiast z powrotem do kraju, zawiedzie ją na emigrację.

W całym jej życiu osobistym i zawodowym, w jej losie, mającym moc i wymiar symbolu, w jej drodze przez teatr – zakodowane są i wyrażone najlepsze polskie tradycje i wzory.

Urodziła się w 1907 roku w Dąbrowie Tarnowskiej, w rodzinie, w której polskość była tlenem, a praca społeczna chlebem powszednim. Ojciec, Karol Braun, był notariuszem i „Sokołem”. Matka, Henryka z domu Miller, działaczką organizacji kobiecych, potem harcerką, komendantką Chorągwi Krakowskiej. Miała trzech braci: Kazimierza (1899 – 1920), Jerzego (1901 – 1975), Juliusza (1904 – 1990), mego ojca.

Najmłodsza z rodzeństwa Jadwiga, podobnie jak bracia, przeszła przez harcerstwo. Postanowiła pójść do teatru. W 1932 roku ukończyła Wydział Aktorski w Państwowej Szkole Dramatycznej w Warszawie.



J. Domańska w końcu lat 1930-tych, fot. arch. K. Brauna.

Potem przez siedem lat występowała w teatrach Wilna, Łodzi, Bydgoszczy i Łucka. Grała między innymi Amelię w *Mazepie* Słowackiego, Marynę w *Weselu* Wyspiańskiego, Damę Kameliową w sztuce Dumasa i Kandydę w dramacie G. B. Shawa.

Piękne, wręcz posągowe warunki zewnętrzne, klasyczna w rysach uroda słowiańska i głęboki głos, predestynowały ją do wielkich ról bohaterskich, pełnych patosu i godności –

napisał o niej Jan Ostrowski[1]. W rolach tych posługiwała się aktorstwem emocjonalnym i gorącym, intuicyjnym i spontanicznym. Nadawała postaciom szczególną intensywność przeżycia, a zarazem podniosłość i godność. Posługiwała się równocześnie hieratycznym gestem i umiejętnie modelowanym głosem, bardzo dobrze mówiła wiersz. Grała m.in. Rachelę w *Judaszu z Kariothu* Karola Huberta Rostworowskiego, partnerując Ludwikowi Solskiemu. W rolach komediowych i „salonowych” prezentowała nieskazitelne maniery i ironiczny dystans. Sezon

1939-1940 miała otworzyć główną rolę w *Obronie Ksantypy* Ludwika Hieronima Morstina w Teatrze Śląskim w Katowicach. Próba generalna miała się odbyć 1 września 1939 r.

Nie odbyła się. Gdy aktorka przybyła rano do teatru, już przelatywały nad nim niemieckie bombowce i już pakowano dekoracje, bo teatr katowicki miał się przekształcić w teatr przyfrontowy. Tempo działań wojennych nie pozwoliło jej wtedy stanąć przed żołnierską widownią. Miało się to stać trzy lata później.



J. Domańska, z domu Braunówna i Ludogierd Domański po ślubie w 1933 r., fot. arch. K. Brauna.



J. Domańska w 1936 r., fot. arch. K. Brauna.

Jadwiga Domańska podążyła najpierw do męża do Warszawy, a potem, wraz z nim, do córki pod Wilno. Niebawem oboje wrócili do Warszawy. Przystąpienie do konspiracji nie było dla niej kwestią wyboru. Było oczywiste. Już w końcu 1939 r. została zaprzysiężona w Związku Walki Zbrojnej, przekształconym niebawem w Armię Krajową. Podjęła zadania kurierki na trasie Warszawa – Wilno. W marcu 1940 r. została zaaresztowana przez Rosjan przy przechodzeniu granicy pomiędzy Generalną Gubernią a Litwą, wtedy pod rządami Sowietów. Osadzona w więzieniu w Lidzie, a potem w Baranowiczach, skazana na 8 lat, została wywieziona do łagru koło Nowosybirsk. Stamtąd, w październiku 1941, wyszła po układzie Sikorski – Stalin i natychmiast podążyła do polskiego wojska, do Buzułuku. Była szyfrantką, sanitariuszką, świetliczarką, komendantką plutonu oświatowego. Ale przy każdej okazji dzieliła się również z innymi swoim największym darem – pięknym polskim słowem. Wspomina jej recytacje w swojej książce *Na nieludzkiej ziemi* Józef Czapski:

Zaledwie wypuszczeni z obozów słuchaliśmy w zbitym tłumie w zimnej sali sztabu w Buzułuku, Domańskiej. Późniejsza twórczyni naszego Teatru Dramatycznego, smukła, młoda, jasnowłosa kobieta deklamowała dźwięcznym, niskim głosem o

niezapomnianym akcencie Fortepian Szopena Norwida [2].

W książce Jerzego R. Krzyżanowskiego *Generał, opowieść o Leopoldzie Okulickim*, opublikowano rysunek Romana Schneidera, pod którym widnieje podpis: „Przyjęcie gen. Sikorskiego w Buzułuku, 8 grudnia 1941 r. Siedzą od lewej: gen. Sikorski, min. Wyszyński, gen Anders, min. Kot, pułk. Okulicki, gen. Szyszko Bohusz. Recytuje J. Domańska”[3]. Opowieść głosi, że generał Sikorski, słuchając jej recytacji miał łzy w oczach.



Zespół aktorski 2 Korpusu w Buzułuku – 1941 r., fot. arch. K. Brauna.

Do Buzułuku ściągali, wśród rzesz łagierników – aktorzy, reżyserzy, piosenkarze, muzycy. Powstawały zespoły estradowe. Pojawiała się też potrzeba dawania przedstawień dramatycznych. Podjęto próbę zorganizowania teatru. Wyszedł nawet odpowiedni rozkaz. Ale wtedy teatr jeszcze nie powstał. Wkrótce potem wojsko zaczęło ewakuować się do Persji. Jadwiga Domańska wyjechała z ziemi nieludzkiej wraz z 6 Dywizją, 1 września 1942 r. wprost do Iraku.

Przygotowała tam, w Kizil-Ribbat pod Bagdadem, dwa wielkie widowiska plenerowe. Pierwsze z nich było częścią obchodów związanych z powstaniem Dywizji Kresowej. (Jednostka ta powstała z połączenia 5 Dywizji Wileńskiej i 6 Dywizji Lwowskiej, które zostały przekształcone w Brygady.) Było to

widowisko, w którym wzięło udział paruset wykonawców, w tej liczbie połączone chóry i orkiestry obu dywizji. Rozgrywało się na zboczu wzgórza, na parusetmetrowej przestrzeni, a taki wywołało oddźwięk, że pod jego koniec, kilkutysięczna żołnierska widownia poderwała się samorzutnie do śpiewu Warszawianki i Roty, a gen. Anders wygłosił improwizowane, porywające przemówienie. Kto był na tym ognisku pamięta wielkie wrażenie, gdy przy wierszu o walczącym kraju zapalała się za wzgórzem łuna ognia i dymu, gdy z za wzgórza wyłaniał się w światłach różnokolorowych rakiet długi wąż poloneza i gdy żołnierze wybrani z połączonych w jedną dywizję brygad, lwowskiej i wileńskiej, w rozwiniętym szyku z bagnetem na broni szli na granice Polski, wytyczone płonącymi światłami [4].

Drugim takim przedstawieniem były *Jasełka*, dane również w plenerze na przełomie 1942 i 1943 roku na pustyni irackiej.

Sceneria była wymarzona. Anioły zjawiały się z głębokiej dali, wywołane światłem reflektora przeciwlotniczego, goniec do króla Heroda widny był z daleka, jak biegł z pochodnią przez pustynię, a Trzej Królowie przybywali na wielbłądach [5].

Tym pracom trzeba było nadać ramy organizacyjne. Jadwiga Domańska, w bezpośredniej rozmowie z gen. Andersem, na wiosnę 1943 r. w Iraku uzyskała jego decyzję o powołaniu Teatru Dramatycznego 2 Korpusu. Wyszedł odpowiedni rozkaz dowódcy. Pierwsze przedstawienie dano 8 maja 1943 r. w Bagdadzie. 1 czerwca 1943 Domańska objęła formalnie kierownictwo teatru.



Zespół Teatru Dramatycznego 2 Korpusu pod piramidami i sfinksem w Egipcie. Por. J. Domańska, dyrektor Teatru w jasnym mundurze w środku - 1944 r., fot. arch. K. Brauna.



Generał Wł. Anders (drugi od lewej), por. J. Domańska, dyrektor Teatru Dramatycznego 2 Korpusu (szósta od lewej), fot. arch. K. Brauna.

Teatr Dramatyczny przebył cały szlak wojenny wraz z wojskiem, od Iraku, przez Palestynę, do Włoch, by w 1946 r. przenieść się do Anglii. W 1948 r. teatr został rozwiązany w ramach ogólnej demobilizacji 2 Korpusu.

Pracę teatru w 1943 r. otworzyła sztuka współczesna Herminii Naglerowej *Tu jest Polska*. Pierwszym widowiskiem zrealizowanym w Wielkiej Brytanii była *Droga Konrada* oparta o teksty Mickiewicza, Krasińskiego, Kasprowicza, Wyspiańskiego i Żeromskiego, zagrana w Londynie 1 lipca 1947 r. Zamknęło działalność teatru *Wesele*, wystawione w Londynie 21 maja 1948 r. Na przestrzeni pięciu lat wystawiono łącznie 20 premier. Dano przeszło 650 przedstawień. Obejrzało je około 350 tysięcy widzów. Repertuar złożony był ze sztuk polskich (m.in. trzy pozycje Fredry: *Damy i Huzary*, *Zemsta*, *Śluby panieńskie*), światowej klasyki (Molier, Szekspir, Gozzi, Goldoni), narodowych „śpiewogier”, jak *Wesele na Górnym Śląsku* Ligonia i *Skalmierzanki* Kamińskiego.



Jadwiga Domańska jako Księżniczka Turandot w sztuce Carlo Gozziego — Teatr Dramatyczny 2 Korpusu, 1945 r., fot. arch. K. Brauna.

Teatr Drugiego Korpusu Jadwigi Domańskiej miał dwie zasadnicze cechy: był to poważny, zawodowy teatr dramatyczny, stawiający sam sobie wysokie wymagania zawodowe i stosujący zawodowe kryteria artystyczne; był to zarazem teatr żołnierski, obozowy i frontowy, teatr żołnierzy dla żołnierzy. Choć bardzo często – w Jerozolimie, we Włoszech, w Londynie – grał też dla publiczności cywilnej. W teatrze tym najlepsze polskie tradycje teatru artystycznego i ideowego, teatru obywatelskiego, który krzewi sztukę i zarazem służy narodowej sprawie – spletały się nierozdzielnie.

Oddana pracy kierowniczej, organizacyjnej – Jadwiga Domańska sama grała w czasie wojny stosunkowo mało, choć właśnie w tym czasie stworzyła jedną ze swych najlepszych kreacji – przebiegłą i władczą Księżniczkę Turandot w sztuce Gozziego. Grała też charakterystyczną Orgonową w *Damach i Huzarach*, a później nastrojową Rachelę w *Weselu*. Nie mogła się spełnić jako aktorka także po wojnie. Najpierw bowiem, ciągle jako szef teatru, pochłonięta była staraniami o jego trwanie w Wielkiej Brytanii, potem codzienną walką o byt swój i rodziny, co stało się udziałem wszystkich byłych żołnierzy polskich, którym, choć należeli do zwycięskiej koalicji, nie dane było zebrać owoców zwycięstwa, ani wrócić do ojczyzny. Odwrotnie, musieli w największym trudzie i często w poniewierce, wypracowywać swój gorzki emigracyjny chleb. A wierność przysiędze i świadomy, ideowy wybór emigracji były dla Jadwigi Domańskiej wyborem nie podlegającym dyskusji.



Jadwiga Domańska w
latach 1960-tych

W latach wojny samotna, we Włoszech połączyła się znów z mężem i córką, którym udało się wydostać z kraju. Wuj Ludek był ciężko ranny w Powstaniu Warszawskim, ale wrócił do zdrowia. Bożenka sporą część wojny spędziła w naszym domu w Milechowach. Po ukończeniu studiów w Londynie, wyszła za mąż za Jerzego Bahyrycza. Wyjechali do Kanady, gdzie on, geolog z wykształcenia, pracował w ministerstwie bogactw naturalnych, a ona wychowywała dzieci – dorobili się siedmiorga potomstwa. W 1960 r. wujostwo Domańscy postanowili przenieść się również do Kanady, aby być bliżej nich. Ciocia podjęła studia pedagogiczne i uzyskała w 1964 r. kanadyjski dyplom nauczycielski. Przez następne kilkanaście lat była nauczycielką języka francuskiego. Nadal jednak nieustrudzenie organizowała widowiska polskie. Udzielała się w środowiskach Polonijnych. W 1972 r. wyreżyserowała fragmenty *Dziadów* (1972); sama zagrała Panią Rollison, ukazując skalę i siłę swego aktorstwa. Emanowała ogromną duchową energią i uczuciem, kontrolowanym jednak z niezwykłą godnością, była szlachetna w bólu i rozpacz. W 1974 r. wyreżyserowała w Ottawie wielkie widowisko *Kopernik żywy*, z okazji Roku Kopernikowskiego, z udziałem 60 wykonawców; w wersji angielskiej zostało ono wystawione w kanadyjskim Teatrze Narodowym (National Arts Center) w Ottawie. W latach 1980-1987 prowadziła polski program telewizyjny. W 1982 r. współdziałała w stworzeniu Ottawskiego Klubu Teatralnego.



Jadwiga Domańska z córką
Bożeną Bahyryczową, powyżej
portret brata, Jerzego Brauna
— po pogrzebie męża,

Ludogierda Domańskiego —
1984 r., fot. arch. K. Brauna.

Kończąc swoje, cytowane już tutaj *Wspomnienia* napisała, że teatr emigracyjny przechowywał latami „obywatelską tradycję polskiego aktorstwa, zapoczątkowaną w XVIII wieku przez Wojciecha Bogusławskiego”, a ludzie teatru polskiego w czasie wojny i po wojnie na emigracji uprawiali teatr najwyższej miary etycznej i artystycznej, przyjmując zarazem jako najwyższy przywilej i obowiązek „służbę wspólnej narodowej sprawie”. Jadwiga Domańska miała pełne prawo słowa te odnieść do siebie samej i teatru jaki uprawiała.

Zmarła w wieku lat 89, w 1996 r. Została pochowana na cmentarzu w miejscowości Masham pod Ottawą, choć pragnęła spocząć w Polsce. Kilkakrotnie podejmowałem starania o godne sprowadzenie jej prochów do kraju. Pisałem w tej sprawie do kolejnych Prezesów Związku Artystów Scen Polskich i zwracałem się w tej sprawie do aktorów-działaczy związku, a także do Ministrów Kultury. Jak dotąd bezskutecznie.



J. Domańska w latach 1960-tych recytuje w

Ottawie, fot. arch. K. Brauna.

Galeria



Jadwiga Domańska jako Rachela z Ludwikiem Solskim w „Judaszu z Kariothu” Karola Huberta Rostworowskiego, Bydgoszcz 1938 r., fot. arch. K. Brauna.



Jadwiga Domańska w końcu lat 1930, fot. arch. K. Brauna.

[1] „Tydzień Polski”, Londyn 7. XII. 1960.

[2] Józef Czapski, *Na niehumanitarnej ziemi*, Wiele wydań na emigracji i w kraju, ostatnie: Wyd. Znak, Kraków 2011.

[3] Jerzy R. Krzyżanowski, *Generał, opowieść o Leopoldzie Okulickim*, Warszawa 1980.

[4] Jadwiga Domańska, *Wspomnienia*, maszynopis bez daty, w posiadaniu autora.

[5] Tamże.

Zaczarowany Dom pod Wiewiórką

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Maria Kuncewiczowa, fot. Danuta Rago.

...Jerzy, jak mam sobie wyobrażać tę przestrzeń czy ten żywioł, czy ten byt, gdzie

ty teraz jesteś? Patrzę na to samo, na co kilka miesięcy temu i przez sześćdziesiąt lat przedtem patrzyliśmy razem i widzę co innego. Wisła płynie i niebo się smuży obłokami, promieniami, wspomnieniami, ale tylko po wierzchu... Szeptałam czułe wyrazy z żarliwością, jakiej skąpiłam, kiedy byłam młoda. Teraz omdlewam z żalu: dlaczego? Dlaczego szczeniłam tak długo tej mowy erotycznej, jedynej prawdy serca? Zaklinałam ciebie: Usłysz! Słuchaj, jak ja ciebie kocham, jak pragnę, jak dziękuję!... Otóż i prawda ostateczna: na rzecz najważniejszą zawsze czasu zabraknie...

Maria Kuncewiczowa: *Listy do Jerzego*

Drewniany dom projektu Karola Sicińskiego stoi na wzgórzu, na końcu Wąwozu Małachowskiego. Ogrodzony gęstym parkanem drzew i krzewów, jest prawie niewidoczny. Skrzypnięcie furtki, długa aleja, kwiaty przed tarasem. Czuję zapach róż. Nie zdążyłam zapukać. Maria Kuncewiczowa zobaczyła mnie przez okno.

- Ale po coż te kwiaty - uśmiecha się pisarka, patrząc na ogromny bukiet herbacianych pąków.

A więc to jest dom, który znam doskonale z *Kluczy, Fantomów, Natury*. To nad nim świecą dwa księżyce. To tu w ciszy, zieleni i w zaczarowanym kole artystycznych zdarzeń powstają myśli, słowa, zdania. Z niemego odrętwienia i chęci zapamiętania wszystkiego od razu i na zapas wyrywa mnie ciepły głos. Autorka *Dwóch księżyców* prowadzi przez sień, pokój z kominkiem, salonik z widokiem na taras. I opowiada. O każdym sprzęcie, o pamiątkach i ich historii. Ile razy i ile osób musiało już to słyszeć. A jednak, mam wrażenie, że pisarka mówi po raz pierwszy i to tylko do mnie.

Ciepła, uśmiechnięta gospodyni, w długiej czarnej spódnicy, białej bluzce zakończonej żabotem z wpiętą starą broszą-kameą, z włosami swobodnie upiętymi w górze, zwraca moją uwagę na wszystko od początku. Powoli wprowadza mnie w klimat swojego świata, który budowała ponad 90 lat, złożonego z tak wielu elementów, przeżyć, wspomnień, uczuć. Świata, z którego większość bliskich już

odeszła. Do męża Jerzego pisze codziennie listy. Na syna Witolda, który wybrał wolność za Oceanem w odległej Ameryce, czeka co roku. A wnuk Adam... *ogromny, brodaty, łagodny i obcy* nigdy tu nie przyjedzie. Dom żyje swoim życiem, wypełniony spełnionymi i niespełnionymi marzeniami i myślą o uciekającym czasie, który trzeba do końca wykorzystać.

We wnętrzu moją uwagę zwracają sosnowe bale. Równo poukładane stanowią zasadniczą konstrukcję ścian, a podwieszone, są ozdobą na wzór staropolski. W największym pokoju sufit przypomina wspaniałą kasetonową mozaikę, a w holu zaprojektowano strop w desenie. Posadzkę ułożono z czarnych, wiślanych dębów. Drzewa te przez wiele lat leżały zatopione w wodzie, dzięki czemu uzyskały dużą twardość, odporność i czarny kolor. Wyglądają jak heban. Nad kominkiem wisi świecznik. Duży, czarny, surowy, rozłożysty, a w nim rząd świec.

- To meksykański - mówi pisarka, idąc w ślad za moim wzrokiem. - A w kominku już od dawna się nie pali, bo zamieszkały tu ptaki.

Z prawej strony kominka wąskie schody, ozdobione giętą poręczą, prowadzą do pokoi na piętrze. Z kutego metalu wylania się wiewiórka rozsypująca orzechy, układające się w inicjały M.J.W.

- To są inicjały moje, męża i syna. Dom ten miał się kiedyś nazywać „Domem pod Wiewiórką”.

Środek holu zdobi czarna, ciężka, metalowa latarnia.

- Wykonał ją świetny artysta, pan Sobko z Kazimierza. To jedyny przedmiot, który ocalał z rzeczy przedwojennych. Było tu przecież spustoszenie. Niemcy wynieśli wszystkie książki, obrazy, meble i spalili.

...w przededniu całopalenia Polski polubiłam rzeczy - przypomina mi się fragment „Fantomów” - Że to stanie tu. A tutaj potrzebne jest tamto. Czy coś dobrze wisi, czy się zamyka, czy błyszczy, nie skrzypi, nie kuleje. Dom okazał się istotą. Złożony z miliona komórek miewał rumieńce, bywał blady, promieniał i chmurniał. Budził się razem ze mną, razem ze mną zasypiał, ale w nocy dziwniał, snuł swoje osobne życie - belki wzdychały, roniły żywicę, lasowało się wapno, wyły kominki, osiadały

kamienie, przypominał się daleki las, z którego przywędrowały bale sosnowe i olchowe gonty, śnił się kamieniołom nad rzeką... Dom gęstniał, pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wrastał w tajemniczą perspektywę, która mogła być moją historią, chociaż nią nie była. (...) Siciński zbudował go jak pudełko samowystarczalne w ramach swojej architektury, nie wymagającej innych ozdób niż światło i harmonia. Wszechstronnie oszklony, wewnątrz złoty i kremowy, pachnący berwionami, rzeczy zbyteczne odrzucał. Za to rzeczy, które przyjął stawały się podwójnie własne: nasze i domu.



Willa pod Wiewiórką, fot. Mateusz Stachyra, Muzeum Nadwiślańskie – Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

A potem

...patrzyłam na dom, w którym po 10 latach przygotowań mieszkałam cztery miesiące. Pierwszy własny dom w rodzinie odkąd prapradziad zaprzepaścił swoją Psią Wólkę wstępując do Legionów we Włoszech. Ale nie było czasu na

podejrzenia, zaraz odjechaliśmy.

Zaskrzypiała „hebanowa” podłoga i znalazłam się w widnym pokoju z widokiem na las. Ściany pełne obrazów. Kilimy, książki. Pod oknem duże biurko, a na nim fotografia papieża i rozrzucone kolorowe albumy, m.in. ze zbiorami na Wawelu.

– To jest biurko Wyczółkowskiego – objaśnia gospodyni, otaczając mnie uśmiechem – Meble kupowaliśmy z mężem po wojnie. Większość z nich pochodzi z antykwariatu w Radomiu. Na podłodze położyliśmy wschodnie kilimy. A tu w rogu stoi nasza biblioteczka, z książkami moimi, męża i bratanka, Jana Józefa Szczepańskiego. A o... tu... to jedna z ostatnich fotografii męża...

Rysunki, obrazy. To Londyn po zbombardowaniu, a to plakat do „Cudzoziemki” . Wszystko piękne, wszystko ma jakąś treść, wiąże się ze wspomnieniami, żyje swoim życiem i ma duszę. – A to są projekty kostiumów wykonane przez Irenę Lorentowicz – mówi Maria Kuncewiczowa – To ona projektowała kostiumy i scenografię do „Harnasi” Szymanowskiego w Paryżu.

Irena Lorentowicz, serdeczna przyjaciółka Marii Kuncewiczowej *...dziewczyna w wielkim kapeluszu słomianym, w sukni białej, dziewczyna z książki o przygodzie, dziewczyna-obraz* wiązała się nierozzerwalnie z Kazimierzem, „cygańskim życiem” i artystyczną przygodą. Kazimierska malarka, wtopiona w nadwiślański pejzaż stanowiła jego stały element. Zaprowadziła kiedyś pisarkę po *darniowych schodkach na wzgórze, gdzie w kwitnącym sadzie stała mała chatka i powiedziała: – Tu powinnaś zamieszkać.*

...Widywałam ją potem w Warszawie – pisała Maria Kuncewiczowa – gdzie nosiła suknie uroczyste, wizytowe, jak przystało na córkę dyrektora Teatrów Warszawskich, znakomitego krytyka, Jana Lorentowicza (...) Widywałam ją też w Paryżu w *aksamitnym berecie, z bukietem fiołków, szczęśliwą mieszkankę rue Fridevaux na bohemiańskim Montparnasse.*

...Jerzy od niedawna nie ma Reni. Nie ma jej w mieszkaniu na ulicy Gamerskiego w Warszawie, gdzie przez 20 lat opalizowały stare szkła na mahoniowych komodach, gdzie piętrzyły się teki ze szkicami kostiumów Lifara i innych koryfeuszy baletu i

opery w Paryżu, Warszawie, Nowym Jorku. Nie ma na ścianie portretu Jana Lorentowicza, którego intelektualne i męskie czary sączą się jeszcze z dzienników Zofii Nałkowskiej i listów anty-dulskiej Gabrieli...

Ale Irena Lorentowicz na stałe zamieszkała w kazimierskim domu, w jasnym pokoju z widokiem na brzozy. Jest jedną z tych bliskich osób, które stanowią o jego całości, wypełniają jego komórki, wtapiają się w jego zaczarowaną duszę.

Przechodzimy do dużego salonu z kasetonowym sufitem. Ciemny strop, ciemne ściany, duży okrągły stół. Uwagę moją przyciąga egzotyczny wzór na ścianie, wyłaniający się z ciemnej czerwieni, stopniowo przechodzący w miękkość i jedwabistość.

- Ta płócienna, ręcznie haftowana makata pochodzi z Turkiestanu, z Czun. Nazywaliśmy ją „płachtą turkiestańską”. Przywieziona do Polski przez rodzinę Stanisława Marii Salińskiego, była darem pożegnalnym chińskich kupców dla jego ojca. W książce „Ptaki wracają do snów” Saliński pisze o przekazaniu jej w naszym domu na Placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Z kultury dalekiego wschodu przenoszę się na tereny bliższe, głęboko osadzone w historii. Piec huculski, unikalne dzieło ludowej sztuki, wyłaniający się z całej gamy miękkiej zieleni, przechodzący przez wszystkie jej odmiany i odcienie, zrobiony został z trzech starych pieców. Wprawdzie już się w nim dzisiaj nie pali, żeby kafle nie popękały, ale wygląda imponująco. Dla Marii Kuncewiczowej ma on jakąś zakłęta tajemnicę, więc wprowadza mnie w jego baśniowy świat objaśniając symbole zamknięte w huculskich rysunkach. Piec przypomina

...wszystko, co kiedykolwiek się śniło czy iściło w repertuarze naiwnej wyobraźni: okruchy Biblii, szwajcarskie sielanki Słowackiego, dumki-szumki pośród słoneczników, wańki-wstańki, żar-ptaki i czerwone jaja. A wszystko na płachcie Aladyna, ukazane przez szparę, dziejące się ponad czasem...

Oprócz nierealnego klimatu baśni jest w nim symbolicznie zamknięta historia. Wyrastające z krzyża dwa pędy drzewa, kończące się głowami orłów obrazowo przedstawiają schizmę wschodnią.

Pod ścianą inny szczegół ludowej sztuki. Kołowrotek i krzeselko szewskie. Obok wysoka, ciemna rzeźba z drzewa oliwkowego.

Przepiękne, lśniące lustro należące do Heleny Modrzejewskiej. Ozdobny dzbanuszek z warsztatu Pabla Picassa, gdzieś tam znów fragment obrazu Diego Rivery.

...mówiono mi zawsze, że przedmioty są martwe i złośliwe. Nieprawda. Serwantki, sekretarzyki, fotele i krzesła zachowały ciepło rąk stolarzy domowych, w dotyku są gładkie i przychylne fantazjom nowych właścicieli, obrazy zaś opowiadają życie utrwalone przez kazimierskich malarzy...

Moją uwagę przykuwa wiszący na ścianie ogromny olejny obraz w złotej ramie, nie pasujący do otoczenia. Idąc za moim pytającym wzrokiem gospodyni wyjaśnia – W tym miejscu wisiał portret mojego męża, malowany przez Władysława Filipiaka. Zabrano mi go chwilowo na wystawę, a w zamian dostałam ten. O, a tam, za piecem wiszą jeszcze dwa portrety, mój i męża, malowane przez Antoniego Michalaka...

...Jerzy, jakże pięknie Nasierowska zdołała aparatem fotograficznym uchwycić ciebie na gorącym uczynku istnienia. (...) Stojąc tam przed tobą mówię co rano: Jestem. I ty jesteś. Dziękuję za nasze długie piękne życie i modłę się, żeby ono trwało. (...) Poprzez czas i przestrzeń dajesz znak, że nie zerwała się więź między żyjącą a umarłym...



Maria Kuncewiczowa w sypialni, fot. H. Dębski, Muzeum Nadwiślańskie – Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że chociaż Jerzy Kuncewicz już nie żyje, to jednak jest wszędzie obecny. Jest w całym domu, w każdym sprzęcie, w fotografii na półce z książkami. Nic się nie zmieniło. Dalej pomaga żonie w pracy, jako współtwórca każdej minuty układanej codziennie pracowicie i z sercem.

Jest we mnie bardzo wyraziste poczucie obecności drugiego człowieka – powiedziała kiedyś pisarka w wywiadzie – oraz poczucie odpowiedzialności za kogoś. Teraz, po sześćdziesięciu latach małżeństwa, tzn. życia w tym samym domu, albo w tym samym pokoju, zdaję sobie sprawę, że przez sześćdziesiąt lat słyszałam bicie serca drugiego człowieka, oddychałam tym samym powietrzem (...)

Materialną okolicznością, która utwierdziła naszą wspólnotę było to, że drugi człowiek, z którym się sprzęgło moje życie, wybudował mi dom (...) Pochodzę z rodziny od dawna bezdomnej, tzn. rodziny, która miała zawsze przyzwoite mieszkania, ale to nie były domy, to zawsze było coś wynajętego. A tutaj nagle okazało się, że jestem w domu, który otaczają drzewa, które też do mnie należą. Ten kawałek nieba też do mnie należy, bo moje okna patrzą na to niebo...

Spojrzałam na duży wazon z suchym bukietem. Zastygłe kolory, zatrzymane w bezruchu, pękate lub drobne kształty, tworzą malarską kompozycję z obrazu.

Moje suche bukiety, nieśmiertelniki, osty, głogi mają inny cel: pomagają mi widzieć życie trwalsze niż to moje, wilgotne, gnijące.

Takie nieprzemijające piękno, jak to, zamknięte w suchych bukietach, jest w całym domu. Domu wymarzonemu i własnemu. Miejscu, do którego tęskni się całe życie i do którego zawsze się wróci. Domu, od którego klucza nigdy się nie zgubi.

Dom w Wąwozie Małachowskiego, będący młodopolskim skrzyżowaniem dworu i chaty góralskiej, łączy w sobie wiele sprzeczności. Otwarty na świat i ludzi. Często odwiedzany, przyjmujący głosy z całego świata. Wciąż piszą studenci z Ameryki, znajomi, przyjaciele z różnych stron ziemskiego globu. Piszą też zwykli ludzie, zupełnie obcy, którzy po prostu chcą się „wyspowiadać”, zrzucić z siebie żale i troski. Dom ten wszystkich zmieścił. Dla każdego serdeczny, każdy coś otrzymał: cenną chwilę czy uśmiech. Maria Kuncewiczowa odpisuje na wszystkie listy *bo przecież grubiaństwem byłoby nie odpowiedzieć*. A jednocześnie dom ten jest bardzo prywatny, wręcz intymny, szczelnie, hermetycznie zamknięty. Wchodząc do niego, wydawało mi się, że przekraczam barierę cudzego życia, jego codzienności i niecodzienności. Że dostaję się do cudzych marzeń i tajemnic, które wprawdzie są wciąż „sprzedawane”, ale nadal należą do autora. Jest to przecież dom, nie „namiot”. Mieszka tu Róża z *Cudzoziemki*, Piotr Krzysztofowicz z *Leśnika*, brat, mąż i wszyscy bliscy.

„Kuncewiczówka” jest światem w miniaturze. Zgromadzone pamiątki mają ogromny zasięg geograficzny i przekrój historyczny. A mimo to, przede wszystkim czuje się tu

Polskę. Po wielu latach emigracji Kuncewiczowie zdecydowali się przyjechać do Kazimierza, bo nie wyobrażali sobie, żeby umrzeć na obcej ziemi.

Maria Kuncewiczowa zaprasza mnie do stołu. Białe wino i sernik domowej roboty. Chwila rozmowy nie związanej z domem. Zapytana o moje plany, chęci i marzenia, łapię się na tym, że odczuwam potrzebę opowiadania o rzeczach ważnych i błahych.



Kuncewiczówka, wnętrze domu, fot. Kamil Ruciński.

Chwila ciszy. Promień zachodzącego słońca wpadł do pokoju i zatrzymał się na paku herbacianej róży. W powietrzu unosi się zapach kwiatów, wina, słońca i starego drewna. Nieubłagany zegar wybił następna minutę. Wydawało mi się przez moment, że to *dwa księżyce srebrną sanną spłynęły po niebie, uderzyły z brzękiem o szybę, do pokoju wpadły zimne i błyszczące*. Coś magicznego jest w tym domu. Jestem nie tylko tu, ale i wszędzie, nie tylko teraz, ale i kiedyś. A autorka tego czarodziejskiego

świata wydaje mi się kimś bliskim, kimś z rodziny, o kim się mówi dobrze, że jest. Dzielę się swoim spostrzeżeniem i podaję książkę do podpisu. Słysząc skrzypienie pióra.

Na pamiątkę jeszcze jednej rozmowy, tym razem kazimierskiej. Maria Kuncewiczowa. Dom pod Wiewiórką 1987.

Powrót Hemara

NAC



Marian Hemar, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Florian Śmieja

Gdyby pokusić się o napisanie historii życia kulturalnego polskiego Londynu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, jedną z pierwszorzędnych postaci byłby niewątpliwie Marian Hemar. Dziś jest on sylwetką z

przeszłości, historią, artystą znanym ze słyszenia wśród najstarszych emigrantów.

Pamiętam go z przedstawień w klubie "Orzeł Biały" na londyńskim Knightsbridge. Kiedy pożar zniszczył ten klub, Hemar kontynuował występy na South Kensington w "Ognisku Polskim". W połączonych salonach stylowej kamienicy na pierwszym piętrze odbywały się teatralne spektakle, literackie spotkania i akademie.

W 1946 roku, jeszcze w mundurze starszego strzelca broni pancernej, pojechałem z obozu w Szkocji na urlop do Londynu. W kinach grano film "The Outlaw" z atrakcyjną Jane Russell. Zobaczywszy głośny western, zwiedziłem British Museum, zobaczyłem kolekcję marmurów i mumii, zajrzałem po raz pierwszy do czytelni biblioteki pod szklaną kopułą. Tam poznałem dr Jerzego Pietrkiewicza, który zaprosił mnie na kawę i przeczytał kilka przekładów poetów angielskich, których antologię przygotowywał.

Wieczorem przedstawiono mnie Marianowi Hemarowi. Ku mojemu zdumieniu, znał i cenił on Wergiliusza, a nawet trzymał na nocnym stoliku jego "Bucolicon", a ja także w onym czasie tłumaczyłem sielanki Rzymianina.

Kiedy po ukończonych w Irlandii studiach znalazłem się ponownie w Londynie, miałem wiele okazji, by oglądać programy Hemara w "Orle Białym" a później w "Ognisku Polskim". Nie doceniałem wówczas właściwie wielkiego wysiłku ludzi teatru, a wśród nich Hemara, którzy w ciężkich czasach krzepili rodaków w ogólnym przygnębieniu i poczuciu klęski. Ich akcje wymagały wielkiego hartu ducha i samozaparcia.

Z czasem musiałem Londyn opuścić i przeniosłem się do Nottingham, tam wykładałem literaturę hiszpańską. Następnie popłynąłem do Kanady, gdzie miałem osiąść na stałe. W roku 1991 przeszedłszy na emeryturę, zacząłem latać do Polski. Do dziś tych pedagogicznych wizyt było 16. Starłem się na uniwersytetach polskich pomagać w kształceniu iberystów.

We Wrocławiu pracowałem przez sześć lat w semestrach letnich. Trafiłem do miasta przypadkiem, kiedy po zjeździe pisarzy w Warszawie wybrałem się tam z Tadeuszem Nowakowskim z Wolnej Europy. Mój towarzysz słynął z dowcipu i złośliwych komentarzy. I tak, kiedy jego kolega w pracy, Wiktor Trościanko, wydał tomik

wierszy pod tytułem „Przeciwko wiatrom”, ponoć Nowakowski dopisał na ogłoszeniu w Monachium „Do nabycia w każdej aptece”.

W czasie moich zajęć w Instytucie Filologii Romańskiej we Wrocławiu miałem okazję chodzić na doroczne przeglądy piosenki aktorskiej. Poznański Teatr Nowy przywiózł pewnego razu adaptację komedii Mariana Hemara „Piękna Lucynda”. Sztuki tej w Londynie nie oglądałem. Byłem kompletnie urzeczony jej znakomitością. Do sufitu szybowwały na trapezach Muzy, pięknie śpiewali i grali aktorzy. Klasą samą dla siebie była Krystyna Feldman, w roli Wawrzonka o niewyparzonym języku.

Kiedy kurtyna opadła, z budki suflera widownia dowiedziała się, że komedia Hemara była oparta na sztuce Józefa Bielawskiego z roku 1765, zamówionej przez króla Stanisława Augusta, wielkiego Księcia Litwy, Kijowa i tak dalej.



Włada Majewska i Marian Hemar w studio Radia Wolna Europa, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Takim sentymentalnym akcentem poczęstował audytorium rosyjski dyrektor

Eugeniusz Korin. To za jego sprawą Hemar przemówił we Wrocławiu wspaniałą teatralną robotą i tekstem oracji wygłoszonej przed laty na premierze londyńskiej, a wydrukowanym ze smakiem w programie wraz z fotografią Napisałem o tym wydarzeniu do Londynu do byłej redaktorki „Wiadomości” Stefanii Kossowskiej, kierującej „Środą Literacką”, comiesięcznym dodatkiem kulturalnym „Dziennika Polskiego”. Szkic przyjęła z entuzjazmem informując w liście:

Archiwum Hemara pieczołowicie zbierała Włada Majewska, bo on sam tego nie pilnował, a jego amerykańsko-duńska żona dawała materiały każdemu, kto chciał albo wyrzucała jeśli Włady nie było w pobliżu. Archiwum jest ogromne: rękopisy, fotografie, nagrania itd. Wszystkie prawa autorskie należą do Włady. Niemal, wszystko, co ukazuje się na emigracji i w Polsce (poza piractwem) jest przez nią opracowane i z nią uzgodnione. Nie wiem, co robi z tym archiwum.

W kanadyjskiej Mississaudze dzięki Polsko-Kanadyjskiemu Towarzystwu Muzycznemu i Salonowi Muzyki i Poezji zobaczyliśmy spektakl teatralno-muzyczny „Hemarowe miłości”, teksty i piosenki. Włodarzom PRL dawał się ten literat kiedyś we znaki satyrycznymi komentarzami. Słynny stał się wierszyk komentujący zdjęcie inscenizacji Dejmka:

Potem mówił p. Gomułka

Do zaufanego kółka:

Ten Mickiewicz...wieszcz narodu...

Dużo zrobił nam zawodu

Że on umarł ja nie wiedział

Gdyby żył to jużby siedział

Nie ma wyjścia nie ma rady

Skonfiskować całe „Dziady”

Powrót na polskie estrady i to pod egidą polskiego konsulatu, Mariana Hemara, ten Odys wrócony Itace, uznaliby za wielki kaprys losu, niewiarygodny, ale sprawiedliwy i zasłużony. Wróciły jego zabawne skecze i popularne piosenki. Przypomnienie w setną rocznicę urodzin Hemara było pięknym gestem autorki scenariusza i reżyserki programu Marii Nowotarskiej. Bywalcom i nowym wielbicielom talentu Hemara sprawiła wielką przyjemność.

Nie sposób było zaprezentować całą bogatą spuściznę tak płodnego artysty w jeden wieczór. Poznaliśmy więc Hemara jako znanego tekściarza, autora pamiętnych słów do światowych przebojów. Ufamy, że w przyszłości poznamy także jego inne wybitne osiągnięcia.

Na temat Salonu Poezji, Muzyki i teatru z Toronto oraz pięknym wieczorze poświęconym Marianowi Hemarowi można przeczytać w książce Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”.

Do kupienia m.in. w księgarni internetowej Gandalf:

<http://www.gandalf.com.pl/os/sokolowska-gwizdka-joanna/>

„Zaćma” Ryszarda Bugajskiego: Pytania o naturę zła.



Marek Kalita jako Prymas Wyszyński i Maria Mamona jako Julia Brystigerowa w filmie Ryszarda Bugajskiego „Zaćma” fot, mat. prasowe.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Ryszard Bugajski zrobił wspaniały, niezwykle dojrzały film, w którym stawia pytania o to, kiedy w człowieku rodzi się zło, wielkie zło. To są również pytania o to, czy możliwe jest przebaczenie.

Ryszard Bugajski kojarzony jest przede wszystkim z filmem „Przesłuchanie”, który powstał w 1981 roku, ale swoją oficjalną premierę miał dopiero z końcem 1989 roku. Stał się też przyczyną szykan, które sprawiły, że reżyser wyemigrował do Kanady i powrócił do Polski dopiero w 1995 roku. Do tematyki czasów stalinowskich powrócił jeszcze filmem „Generał Nil” (poświęconym sylwetce niezłomnego generała Augusta Emila Fieldorfa - Nila), a także spektaklem telewizyjnym „Śmierć rotmistrza Pileckiego”. Wszystkie trzy ukazywały okrucieństwo opresyjnego systemu komunistycznego, niejako z punktu widzenia ofiar.

Najnowszy film Bugajskiego rozgrywa się po 1956 roku, a jego bohaterką jest tym razem kat, a nie ofiara. Jest nią Julia Brystigerowa, zwana krwawą Luną. Trzeba jednak podkreślić, że jest to film, który świadomie dystansuje się od ukazywania

okrucieństw tzw. systemu. Bohaterka, która jest jego kwintesencją staje się właściwie pretekstem do stawiania pytań o naturę zła.

Moralna ślepotą

Akcja większości scen rozgrywa się w ośrodku dla niewidomych w Górkach, które muszą się widzowi kojarzyć z Laskami, ale są zarazem pewną metaforą, na której zbudowany jest cały film: metaforą moralnej ślepoty. Bohaterka przybywa do ośrodka, aby spotkać się z Prymasem Wyszyńskim, którego niegdyś – jako dyrektorka departamentu V Urzędu Bezpieczeństwa – więziła i represjonowała. Ma nadzieję, że ten niezłomny człowiek, któremu wiara pozwoliła wytrwać, znajdzie dla niej radę, jak ma dalej żyć. Dodajmy, że w tym czasie Brystigerowa nie pracuje już w departamencie, skąd usunięto ją po tzw. odwilży, ze względu na złą sławę, której zawdzięczała przydomek krwawej Luny. W tym czasie jest już redaktorką PIW-u i żyje w luksusowych, szczególnie jak na tamte czasy, warunkach. W pierwszej scenie widzimy jej piękne, urządzone antykami mieszkanie, z obrazami znanych mistrzów. Jeden z nich – pędzla Picassa – przedstawia prawdopodobnie ją samą, gdyż podobno była w czasach paryskich jego modelką. Ubrana niezwykle elegancko: w kostium Chanel i piękną białą, jedwabną bluzkę, pachnąca drogimi perfumami, paląca dobre zagraniczne papierosy, nie sprawia jednak wrażenia szczęśliwej i zadowolonej z życia. Głuche telefony, neurotyczne zachowanie, problemy ze snem – składają się na obraz kobiety pogrążonej w głębokim kryzysie. Pragnie spotkania z Prymasem, bo żywi niczym nie uzasadnioną nadzieję, że znajdzie on sposób, aby ją z tego kryzysu wydostać. Audiencję u ks. Wyszyńskiego uzyskać niełatwo, szczególnie, jeśli jest się krwawą Luną, ale i na to są sposoby: fałszywe nazwisko i życzliwa siostra przełożona, która – jak się później okaże – jest jej dobrą znajomą z czasów młodości.

Do spotkania z Prymasem długo nie dochodzi, za to scena ta staje się punktem kulminacyjnym filmu. Księdzem, który pośredniczy w tym spotkaniu, jest zagrany znakomicie przez Janusza Gajosa – mistrza epizodu – skromny, ociemniały ksiądz Cieciora. To w jego usta włożył reżyser i scenarzysta w jednej osobie słowa, które i nam towarzyszą podczas oglądania filmu: jak to jest możliwe, aby światła kobieta, wykształcona i z dobrej rodziny, w dodatku matka, była bardziej okrutna od niejednego sadystycznego ubeka? Ale na to pytanie nie znajdzie odpowiedzi, a już na pewno nie od Julii. Są to jednak pytania, które bohaterka musi sobie sama postawić,

aby pojąć, jak do tego doszło. Bugajski wplata w filmową narrację nieliczne sceny retrospektywne, ale przede wszystkim przemiana Julii ukazana jest za pomocą metafizycznych obrazów. Zaczyna się to od więziennego korytarza, kiedy jeden z więźniów przedstawia się jako Chrystus i potem wielokrotnie będzie się pojawiał w jej snach? wizjach? To wszystko nie jest jednoznaczne, ale symbolizuje niewątpliwie wymiar metafizyczny jej rozterek i cierpienia.



Maria Mamona jako Julia Brystigerowa w filmie Ryszarda Bugajskiego „Zaćma”, fot. mat. prasowe.

Pytania o źródło zła i możliwość przebaczenia

Trzeba przyznać, że Bugajski pokazał z jednej strony, że sama bohaterka (czytaj: każdy człowiek) nie rozumie, skąd się w niej wzięło aż takie zło i nigdy nie uda się jej tego zracjonalizować, choć mówi o braku Boga, o uwiedzeniu komunistyczną ideologią. Ale jak wytłumaczyć, że dostaje furii, gdy jej mały synek zwraca przy stole albo z kamienną twarzą odjeżdża, mimo jego żalosnych nawoływań... Jest w tym filmie scena, w której bohaterka "spotyka" na łące samą siebie – jako 9-letnią dziewczynkę i myśli, że wtedy jeszcze nie była zła, że to przyszło później, ale

dlaczego – na to pytanie nie znajduje odpowiedzi. Wyjaśnienie wszystkiego wiarą lub niewiarą także nic nie daje, skoro siostra Benedykta w pewnym momencie zdradza Julii, że „Bóg jest dla niej tylko metaforą”, a mimo to zło jej nie dotknęło i ofiarowała się ociemniałym dzieciom. To ona, a nie Prymas, ze łzami i z miłością przytula na końcu bohaterkę, dając jej przebaczenie i nadzieję.

Kulminacyjna scena rozmowy z Prymasem Wyszyńskim ukazuje przede wszystkim dystans i niemoc wobec problemu, jakim jest Julia (czytaj: zło). Tutaj ksiądz sam przyznaje, że czuje się głupi i bezradny. Wobec klęczącej i szlochającej kobiety zdobywa się na gest błogosławieństwa. Tylko tyle i aż tyle.

Ryszard Bugajski zrobił wspaniały, niezwykle dojrzwały film, w którym – jak jeden z jego bohaterów – stawia pytania o to, skąd bierze się zło – aż takie zło? Dlaczego ludzie wyrządzają sobie taką straszną krzywdę? To są również pytania o to, czy możliwe jest przebaczenie. Chrystus wprawdzie wybacz bohaterce, ale czy wybaczą jej ofiary i czy ona sama sobie potrafi wybaczyć? Tu nie ma łatwych odpowiedzi. Tytułowa „zaćma” zdaje się być jakąś jej metaforą. Bohaterka ciągle zakrapia oczy, cierpi bowiem na kataraktę, ale wiadomo, że ta nieumiejętność rozpoznawania dobra i zła jest jej głównym problemem.



Maria Mamona jako Julia Brystigerowa w filmie Ryszarda Bugajskiego „Zaćma”, fot. mat. prasowe.

Choć wobec tak doniosłej tematyki sprawa formy wydaje się być drugorzędną, nie sposób jednak pominąć głównej roli, która niejako dźwiga całą tę złożoną problematykę. Postać Julii Brystigerowej, zagrana została przez Marię Mamonę znakomicie i niezwykle wiarygodnie. Na początku bohaterka jest sztywna, pewna siebie i przekonania, że wszystko może (kiedy np. zastrasza dozorcę, o którego współpracy z SB doskonale wie). Proces rozwoju postaci następuje z jednej strony w toku wydarzeń, z drugiej zaś – i to jest chyba najistotniejsze: poprzez tajemniczą przemianę wewnętrzną. Jej wina staje się dla niej samej coraz bardziej wyrazista, aż do punktu kulminacyjnego i swoistego "wyciszenia" w ostatniej scenie, wraz z pointą, kiedy Julia zakłada na nogę metalową przepaskę zadającą ból. To znak, że przyjmuje cierpienie. Trudna rola i wielkie aktorstwo, bez którego ten film nie byłby wiarygodny.

Książę tułacz



Ks. Józef Poniatowski przed Pałacem prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu – Warszawa, fot. Stefan Sapeta.

Zdzisław Najder

Kiedy chcę przedstawić osobowość księcia Józefa Poniatowskiego, uświadamiam sobie, że nasuwające się określenia stanowią zbiór (nawet zbiorowisko) składników występujących zwykle osobno, albo nawet przeciwnych. Urodzony w Wiedniu z matki Austriaczki (ze starej czeskiej rodziny Kinských) zawsze tylko za Polaka się uważał i najlepiej czuł w Polsce, zwłaszcza w Warszawie – choć łatwiej mu było flirtować i pisać po francusku. Arystokrata z pochodzenia (babka Czartoryska), związał się z rewolucyjną Francją i Napoleonem; wśród jego marszałków był jedynym cudzoziemcem i jedynym wysoko urodzonym. Krążyły nie bezpodstawne legendy o jego miłosnych podbojach, ale dla tego bawidamka naturalnym zachowaniem było włożyć lulkę w zęby, wziąć karabin z bagnetem od idącego obok żołnierza i poprowadzić batalion piechoty wprost na wroga. Uczestnik kawalerskich szaleństw,

jak przejazd nago powozem przez Warszawę, był sumiennym i skutecznym organizatorem wojska, potrafił je tworzyć od podstaw. Z poglądami społecznymi się nie obnosił; nie poczuwał się w tej dziedzinie do roli przywódczej; ale że je miał, i to całkiem radykalne, świadczy jego gniewny list wodza cofającej się przed przygniatającą rosyjską przewagą armii do Stanisława Augusta z lipca 1792:

Gdybyś WKM na początku tej kampanii... był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, albobymy zginęli z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem.

Na uwolnienie chłopów z poddaństwa nie potrafił się zdobyć rząd Powstania Listopadowego czterdzieści lat później! Ojciec księcia Józefa był zadomowiony na cesarskim dworze Habsburgów, on sam związał się od wczesnej młodości z wojskiem, zwłaszcza kawalerią. Zajmował różne wysokie stanowiska i był jako dowódca uwielbiany przez podwładnych, ale zawsze go kusiła walka w pierwszej linii, zwykle z narażeniem życia, wielokrotnie przyplącana ranami.

Uwielbiał go, wychowywał z oddali i zaopatrywał (dobrowolnie, nigdy nie proszony) w fundusze stryj-król. Ma rację Szymon Askenazy twierdząc, że Stanisław August, człowiek o niewątpliwie znakomitym umyśle i smaku, podziwiał w bratanku cechy, których sam nie posiadał: przede wszystkim męstwo, to znaczy odwagę połączoną z wytrwałością oraz twarde poczucie honoru. I dawał mu z siebie to, co miał najlepszego. Zadbał z daleka – starając się o dobrych pedagogów i bardzo często pisując do ukochanego „Pepi” z dokładnymi instrukcjami – o solidne wykształcenie młodzieńca, marząc po cichu (ale pozwalając się tego domyśleć) o sukcesji na warszawskim tronie. Książę Józef był stryjowi wdzięczny, doceniał w pełni jego troskliwość, szanował osobę i majestat, starał się być jak najbardziej lojalny, nigdy nie posunął się do publicznego potępienia – ale od wiosny 1792 coraz częściej i coraz silniej protestował przeciw jego ustępliwości wobec Rosji i Konfederacji Targowickiej. W lipcu, na wieść o kapitulacji króla, pisał do księżnej Izabeli Czartoryskiej (po francusku, cytuję przekład Askenazego):

na wszystko byłem przygotowany – lecz nie na podobną nikczemność. ... Raczej należało bić się do śmierci, niż oddychać hańbą.

A kiedy sam Stanisław August potwierdził w liście swoje przystąpienie do Targowicy, odpisał:

Wielki Boże, czemu doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłbyś [...] Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon!

Zrobił to jednak w prywatnym liście; odmówił też, po wahaniach, udziału w niespełnionych planach porwania króla przez zwolenników reformy Rzeczypospolitej. Zachowywał się zawsze jednoznacznie: uważał, że Rosja jest dla Polski największym zagrożeniem i do śmierci się jej przeciwstawiał; Napoleon był więc jedynym naturalnym sprzymierzeńcem. Odmówił naleganiom stryja, by do niego przyjechał, do Grodna, a później do Petersburga. Wziął, choć zaskoczony za granicą, udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. Bliskie pokrewieństwo z upadającym królem spowodowało jednak, że lata 1793-1809 spędził oblewany pomyjami nieufności, kalumnii i podejrzeń. Fakt, że po śmierci Stanisława Augusta stał się jego jedynym spadkobiercą – w praktyce oznaczało to lata borykania się z wierzycielami i władzami zaborczymi – jeszcze głębiej go pogrążał.

Wysoka pozycja społeczna księcia Józefa budziła zazdrość. Jego własna prostolinijność i wielkoduszność sprawiały, że był przez zawistnych niszczonej jak zwierzę innego gatunku. Podejrzenia i oskarżenia czyniono publicznie; o uczciwości księcia i jego niezłomnej wierności Ojczyźnie świadczą decyzje i deklaracje, które składał prywatnie – jak w przypadku listów do króla. Żadne zarzuty dwulicowości, udziału w intrygach, chęci własnej kariery, tchórzostwa i zdrady nie znajdują potwierdzenia w dokumentach. Podejrzewany był niemal do końca i wszyscy o tym wiedzieli. Kuszony był również do końca, potajemnie, wielokrotnie, przez wszystkie trzy stolice rozbiorcze, które chciały kupić jego poparcie obietnicami wysokich stanowisk. W 1813 robiły to zgodnie Berlin, Petersburg i Wiedeń; ale dopiero wiele lat po śmierci księcia Askenazy i inni historycy znaleźli dokumenty świadczące, że Poniatowski, dotrzymując sekretu, zawsze i jednoznacznie odmawiał. Prawie do ostatniej chwili nie był go całkiem pewien Napoleon (cóż, sądził go według siebie...) – ale potem, już na św. Helenie, pierwszy przyznał księciu miarę nie tylko marszałkowską ale i królewską.



Książę Józef Poniatowski w bitwie pod Lipskiem. Obraz przypisywany Januaremu Suchodolskiemu, fot. PAP.

Pisał liczne listy; wyłania się z nich, obraz człowieka raczej skromnego, bez cienia snobizmu, prawdomównego, świadomego własnych niedoskonałości, uczciwego, gotowego na wszelkie ofiary i wyrzeczenia w imię honoru osobistego i narodowego.

Użyłem słowa „honor”. Współcześni historycy polscy często traktują to pojęcie jak parzący kartofel, wyjęty z polnego ogniska. Przypisanie komuś, że się honorem kierował, wymaga usprawiedliwienia, jak gdyby zachowanie takie było nieco wstydliwą, sentymentalną czy egocentryczną słabością. Może się czasem wydawać, że tylko niemieccy członkowie spisku von Stauffenberga, którzy sami przyznawali się do zdrady stanu (i zawisali na rzeźnickich hakach), by osłonić innych, nie muszą się ze swojego poczucia honoru tłumaczyć. Tak więc i pułkownik-minister Józef Beck, który podjął racjonalną decyzję odrzucenia obu totalitaryzmów, powinien był się powstrzymać od wypowiedzenia tego żenującego dla polityka słowa. Podobny kłopot z księciem Józefem. Zdarzyło mu się parę razy połączyć dwa porządki: wyboru drogi

najlepszej, a zwykle po prostu najmniej dla Polaków historycznie szkodliwej – i drogi honoru, który z konsekwencjami praktycznymi się nie liczy. Połączyć odwagę Rolanda z mądrością równie przecież honorowego Oliwiera. Za każdym razem pociągało to za sobą osobiste i śmiertelne ryzyko; własnego bezpieczeństwa, o zaszczytach i pieniądzach nie mówiąc, nigdy pod uwagę nie brał. I zdobywał skarb w życiu zbiorowym bezcenny: zaufanie.

Książę Józef nie był zazdrosny; na przykład, mimo wszystkich różnic między nimi, zawsze popierał w wojsku Kościuszkę. Był dobrym (choć skłonny do zaniedbań w kwatermistrzostwa) organizatorem militarnym. Kochał wojsko; jego pobłażliwość dla żołnierzy w ich poza-frontowym życiu irytowała nawet Francuzów. Chwalić się nie lubił; pisząc raporty z frontu wyróżniał towarzyszy broni, nigdy siebie. O jego upartej odwadze wiemy od świadków, bo sam o tym nigdy nie wspominał. Ani o tym, że potrafił podrywać żołnierzy do boju, przełamywać ich strach i niepewność w wolę walki i w ten sposób odwracać przebieg bitew. Jak to zwięźle ujął Fredro w swoim zapomnianym arcydziele, jakim jest *Trzy po trzy*:

Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: za mną dzieci! w piekło skoczono by za nim.

Był wybitnym dowódcą; jeśli błądził, to zwykle w niedocenianiu własnych możliwości taktycznych; był znacznie bardziej odważny, niż pewny siebie. Przed potwarzami nie umiał i zwykle nie chciał się bronić. Dopiero bitwa pod Raszynem, która tylko dzięki niemu nie zakończyła się bezładnym odwrotem, ukazała go narodowi w jednoznacznym świetle i politycznym i moralnym. Stryj-król już nie żył, a Książę stanął do boju o Warszawę przeciwko dawnym austriackim towarzyszom broni. I tak wytrwał przez cztery lata, w nieustannej pracy i walce. Pod Lipskiem, w obliczu klęski Napoleona – który jedyny mógł pomóc w zachowaniu niepodległego wojska polskiego – powtarzał: *Il faut mourir en brave*, „trzeba umrzeć mężnie”.

W pamięci i wyobraźni zbiorowej narodu książę Józef utrwalił się w dwu postaciach: skaczącego do Elstery ułana i spiżowego wodza na koniu.

Zginął śmiertelnie raniony (zapewne przez cofających się Francuzów...) w błotnych

rozlewiskach rzeki. Przez pokolenia dziesiątki tysięcy Polaków oglądało obrazy jego śmierci – świadome daremności tej bohaterskiej ofiary. Chwila była wzniosła, gest teatralny – i bezowocny. Wizerunki budziły podziw i szacunek – ale nie nadzieję; pewnie dlatego cenzura oleodruków nie tępiła. Z perspektywy lat można pomyśleć: nie wiele zaznał szczęścia w życiu, ale zginął w odpowiedniej chwili. Jakże marny byłby jego los, gdyby przeżył! Jeszcze jednego uczestnika emigracyjnych złudzeń, swarów i rozczarowań? Poddanego Austrii, Prus albo Rosji?

Ledwie przez Thornswaldena wykonany pomnik księcia stał się – zamiast niego! – tułaczem. Pierwszy odlew, przekazany generał gubernatorowi Paskiewiczowi, do 1898 przeleżał w magazynach twierdzy Modlin, a potem do 1921 ozdabiał ogrody Paskiewiczów pod Homlem. Rzeźbiarz przedstawił Poniatowskiego na wzór Marka Aureliusza z rzymskiego Kapitolu. Książę ma twarz człowieka o skupionej uwadze, w prawej dłoni trzyma poziomo krótki miecz, w pozycji wyrażającej gotowość do służby. Spiżowy posąg postaci tak dramatycznie złożonej, której prawdziwą wielkość poznać można dopiero w zbliżeniu, pod lupą badaczy, jest całkiem jednolity, nie ma plam, pęknięć czy rysów. Jest jak jego wzór: książę Józef, spoistym stopem, choć z tyłu składników złożonym.

Ponad wiek lat później, już w Niepodległej, mówił o nim Piłsudski (nieskory do pochwał):

...zostało wielkie imię, któremu obecnie pomniki stawiają, czyniąc go ojcem honoru i ojcem ojczyzny.

Oto wódz Polaków, którzy chcieli się wybić na niepodległość – na pewno najświetniejszy przez całe 123 lata porozbiorowe. Czy nie przed JEGO pomnikiem powinniśmy zaczynać pochody do Belwederu? Dwaj panowie JP są sobie godni; łączyło ich znacznie więcej, niż inicjały i wąsy.